Na straż (1914)

1476

ИЗЪ [ТИ]ПОГРАФІИ

Братьевъ Піотровскихъ.

Симъ свидѣтелствую, что напечатанное въ Типографіи БРАТЬЕВЪ ПІОТРОВСКИХЪ сочиненіе подъ заглавіемъ:

Na straż

Редакторъ В. Крашевскій

Цѣхоцинекъ

въ долю листа, въ печатаны лист

въ *1000* экземплярахъ.

Влоцлавскъ, *28/5* 191*4* г.

Содержатель Типографіи

A. Піотровскій

JEDNODNIÓWKA. Cena 10 kop.

NA STRAŻ

CAŁKOWITY DOCHÓD ZE SPR[illegible]
NA RZECZ MIEJSCOWE[illegible] OGNIOWEJ.

Urządzenia przeciwogniowe w dawnej Polsce.

Szczyci się nasz wiek postępem cywilizacji i kultury, mając w pogardzie dawne czasy, czasy barbarzyństwa i ciemnoty. Jakże często jednak wyda się mylnym ten sąd o przeszłości, gdy głębiej wnikniemy w życie naszych przodków i przekonamy się, że im nie obce były pomysły i urządzenia niczem albo niewiele różniące się od dzisiejszych porządków. Zwłaszcza w zakresie urządzeń miejskich mamy wiele rzeczy, świadczących o wysokim stopniu naszej dawnej kultury. Za dowód służyć mogą projekty organizacji straży ogniowych w dawnej Polsce.

Jak wiadomo, miasteczka polskie budowano z drzewa, a nawet murowane miały dachy z gontów. Częste pożary wywoływały konieczność czuwania nad bezpieczeństwem życia i mienia obywateli.

To też już w wiekach średnich, czyli w tej epoce, kiedy miasta nasze wzrastać zaczęły, starano się organizować pomoc dla zagrożonych pożarem. Zwłaszcza zakonnicy czynny udział brali przy gaszeniu pożarów, w sąsiadujących z klasztorem miasteczkach lub wioskach. Chwali ich za to kronikarz, Marcin Bielski (wiek XVI) w „Sprawie rycerskiej", pisząc, że klasztory polskie „z puszkarstwem oswojono, zasoby prochów dla wojska robić umiejętne i ognie, jeżeli gdzie wybuchły, gasić sposobne".

Ale pierwszy projekt organizacji przeciwpożarowej miejskiej podaje Andrzej Fryc Modrzewski w swem cennem dziele łacińskiem p. t. „De Republica emendanda" (O naprawie Rzeczypospolitej), wydanem w roku 1551. Ten wykształcony pisarz polityczny znał porządki obce—niemieckie i włoskie, i starał się przeszczepić je na grunt polski. W 1 księdze cennej swej pracy żąda on uporządkowania admnistracji miejskiej i podaje cały szereg przepisów administracyjno-policyjnych, mających na celu porządek i bezpieczeństwo ludności. Domaga się więc praw ścisłych co do dróg, mostów, szpitali, domów pracy i przytułków dla ubogich, cen targowych i zabezpieczenia od ognia. Między innemi pragnie, aby w każdem mieście była zorganizowana straż do gaszenia pożarów.

Nie przeszedł głos Modrzewskiego bez echa. W trzydzieści kilka lat później znakomity rolnik, wojewoda rawski, Anzelm Gostomski, w swej książce p. n. „Gospodarstwo" (Kraków 1588) wyłożył całą niemal organizację straży ogniowej w ogólnych zarysach. „Porządek około gaszenia" ma być taki: „Do gaszenia mają być naznaczeni w każdym domu, czego kto przy ogniu ma pilnować. Naprzód kilkanaście (mniej więcej wedle miasta osiadłości) mężów sprawnych, bacznych, coby rozkazywali i rządzili przy ogniu; potem miasto rozdzielić wedle liczby ludzi: jedni, aby bieżyli z siekierami, drudzy z hakami, trzeci z drabinami, inni z sikawkami, z wiadry, z cebry. A kędy rury niemasz, woziwodowie wszyscy: jeśli tego mało z pewnych domów kłody, wozy i pewną liczbę każdego naczynia obrachować i postanowić. A gdy trwoga ustanie, opatrzeć kto się stawił, kto pierwej i z którem naczyniem: za to wedle miejskich dochodów merita [1]) postanowić; kto pośledz [2]), tego karać; ktoby nie był jeszcze większą kaźń... Mają też być naznaczeni kiedy gore, którzyby złodziejstwa pilnowali: bo wtenczas kradną pospolicie złodzieje najbardziej".

Pan wojewoda rawski przykazuje, aby ten porządek gaszenia był „spisany u radziec [3]) i postanowiony, jako szyk do bitwy żołnierzom, tak wieść do ognia mieszczan".

Nie będziemy zbyt dalecy od prawdy, jeśli ośmielimy się twierdzić, że humanitarne i mądre przepisy pana wojewody były również wykonane w Kutnie, że miasto nasze, do województwa rawskiego należące, podlegało jego władzy.

Jeszcze ciekawsze szczegóły, dotyczące nietylko organizacji straży ogniowej

lecz nawet i taboru strażackiego, znajdujemy w ,Ekonomice ziemiańskiej"Jakóba Kazimierza Haura, wydanej w Krakowie w r. 1675. Widocznie organizacja ratownictwa przeciwpożarowego w tem mieście nie była zadawalniająca, skoro Haur twierdzi, iż kiedy na gwałt zatrąbią lub w dzwony uderzą, lud różny zewsząd się zbiega i miesza, jedni do ratunku, drudzy do rabunku, inni z ciekawości. Więc należy (pisze tenże Haur), aby urząd był na ratuszu, miejscu publicznem przytomny, oraz warty cechu, gromady ludzi, aby jedna warta ową połać albo ulicę otoczyła, aby ludzi luźnych hamowano i nie puszczano, a tylko pewnych z wodą, osękami [4]) z siekierami, z wąworkami [5]) do ratunku puszczano. Cieśle ze swojemi siekierami wszyscy mają ochotnie pokazać się. Kufy albo beczki, na saniach albo wozach, mają być zawsze w pogotowiu wody pełne w rynku na czterech rogach przy studniach, a ktokolwiek wprzód na miejsce, gdzie jest ogień, wodę przywiedzie, ma mu pewna z urzędu dana być kontencja z grzywien płaconych za karę, u kogoby się z komina ogień pokazał i kto o kominiarzu nie pamiętał. W miastach, miasteczkach i porządnych wsiach mają być sikawki od tokarzów, od miechowników wąworki skórzane, od kowalów osęki okowane, od bednarzów naczynia na wodę, od cieślów siekiery.

Pewna tedy część ludzi ma być wydzielona, jedni z siekierami dla wyrębowania, drudzy z osękami do rozrywania ognia, trzeci z naczyniami i z sikawkami do noszenia wody i zalewania, czwarci do wynoszenia rzeczy, mają też być i tacy, którzyby na ten czas szkody strzegli, a tak przy takowym porządku i ostrożności ma być pilność i dozór aż do uśmierzenia i ugaszenia ognia.

Kiedy czytamy powyższe przepisy z końca XVII wieku, mimowoli zadać sobie musimy pytanie, czy możnaby wymyślić na owe czasy coś doskonalszego nad organizację haurowską. Sądzimy, że i dziś jeszcze przepisy te nie utraciły wartości: tak są mądre i tak pięknie świadczą o dawnej naszej kulturze!

Zaznaczyć należy, że w tym samym czasie znano już u nas specjalnych stróżów nocnych, tak zwanych „kwaterników ogniowych". O dyżurach tych stróżów dowiadujemy się z obszernego „Przywileju miasta Łobienice z r. 1693" (druk. w Poznaniu 1883 r.). Podobnież w przywilejach miasteczka Wolborza z lat 1713 i 1766 czytamy: „Przeto osobliwie i serjo przykazujemy, aby nietylko nocne zawsze straże i warty kolejno na ratusz ordynowane, albo i po ulicach rozsadzone, ale i często rewizje kominów ...i co tydzień wymiatania sadzy w każdym domu były... Osęki także żelazne, konwie i inne do gaszenia i rozrywania ognia instrumenta potrzebne, kosztem publicznym miasta sporządzone być powinny i na ratuszu, i na osobnem miejscu dobrze zakonserwowane i zachowane, aby w przypadku i nieszczęściu każdego (avertat Deus) używane były. Do tegoż za tąż expensą starać się i o to mają, aby ze dwa przykadki dobre i

Na marginesie.

Wszyscy go znali, a dla dziwnych planów jego, jakie wysnował, oraz całego trybu życia, dziwakiem go nazwano, a nawet o pomieszanie zmysłów posądzano. Śmieją się zeń, do realnego pchają życia, do pracy dla rubla, bo żyć już niema zaco. A biedną głowę jego tysiączne jeszcze myśli rozsadzają, tyle jeszcze pięknych, niewykonanych planów—planów, co według niego dobro dać miały całej ludzkości. Dobro ludzkości—to cel jego życia. Powrócił właśnie z lekcji w ochronce. Smutny powiódł okiem po otaczających go sprzętach, tak bardzo mu drogich, które za dni parę sprzedawane będą przez licytację—a wszak część pożyczonych pieniędzy na społeczne dał cele, dał hojną ofiarę, on—nędzarz w ludzkiem pojęciu. I dziś te piękne przodków portrety—te zbroje stare — te sprzęty, co dziadom jeszcze służyły—dziś to wszystko pójdzie na licytację. Sprzedadzą to bez żadnej litości, ni dla tych drogich mu rzeczy, ni dla niego samego. Dla niego! On przecież na litość, ni pomoc nie zasługuje—nie żyje jako wszyscy;—nie pracuje dla rubla, jeno tam jakieś wciąż mrzonki snuje.

I znów w tej chwili bólu, cofnął się myślą wstecz—to mu trochę ulgi sprawiło, a potem, coś mu nagle do głowy przyszło ubrać się w mundur strażacki. Uczynił to prędko, jak wszystko prędko czynił. Stanął właśnie przed lustrem, kask kładąc na głowę—w tem, nagle dzwonki pożarowe zagrały, potem trąby zawyły i głuchy złowrogi poniósł się okrzyk—gore! W oka mgnieniu znalazł się na ulicy—pierwszy wpadł do remizy i pierwszy z sikawką przybył do ognia. Duży piętrowy dom drewniany gorzał cały. Wbiegł do środka. Za chwilę widać go było, jak z okien piętra wyrzucał tłomoki rzeczy. Ogień tymczasem

mocne pod ratuszem na saniach i do sani przykowane, codziennie pełne wody były, z odmianą wody, gdy tego potrzeba będzie, aby gotową wodę. konie, czy woły zaprzągłszy, prędzej w nieszczęściu ratunek był".

Podobne urządzenia przeciw-ogniowe stosowano także w dobrach magnackich. W liście pani hetmanowej Branickiej, pisanym do jednego z administratorów majątkowych, czytamy: „Należy, aby mieli przed domami kadzie z wodą ponalewane, siekiery, bosaki, wiadra etc., i ten porządek. aby był na zawsze wprowadzony w Białymstoku, Tykocinie, Choroszczy i po wsiach wszystkich".

Tak strzeżono życia i mienia bliźnich w dawnej Polsce, a choć urządzenia przeciwogniowe w owych czasach nie były doskonałe, dumni jednak z nich być możemy, bo świadczą one niewątpliwie o humanitarnych uczuciach naszych przodków i o ich wysokiej kulturze.

Stefan Chrupczałowski.

* * *

Żartować w bólu, śmiać się przez łzy,
Gardzić cierpieniem, rozpędzić żal
I czoło wznosić hardo.
Spokojnie patrzeć na radość śmiech,
Na szczęście, miłość i rozkosze
Mamy — mieć duszę twardą.

P. P.

ODA DO STRAŻAKÓW.

(naturalnie ciechocińskich).

ZACZNĘ OD G. NACZELNIKA, K. ADJUTANTA I M. POMOCNIKA.

CZEŚĆ WAM LUDZIE ODWAGI I CZYNU,
NIE RYMAMI WAS DARZYĆ — LECZ LIŚĆMI WAWRZYNU.
„MĘSTWO I ODWAGA" DEWIZA SARMACKA,
Z NIĄ WIĘC MKNIE W OGIEŃ DRUŻYNA STRAŻACKA.
A JUŻ CIECHOCIŃSKA WZOREM SŁUŻYĆ MOŻE!
WE DNIE I W NOCY I O KAŻDEJ PORZE.
POŚWIĘCA SIĘ BEZ GRANIC, DLA LUDZKIEJ NIEDOLI.
SZKODA, ŻE TAK MAŁA GARSTKA CZUJE TO, CO BOLI...
RESZTA PANKÓW!!?? ZAMILCZĘ (NIE DLA BRAKU RYMU)
ODGRYWA ROLĘ NERONA NA ZGLISZCZACH RZYMU.
A ZA TO, ŻE MĘŻNI, ŻYCIEM SZAFUJĄ HOJNIE,
MY WŚRÓD NOCNYCH WICHRÓW ŚNIEMY SPOKOJNIE.

* * *

Strażacy teatralni i dyrektorzy dążą do wprost przeciwnych celów. Pierwsi myślą o tem, jak opróżnić salę i zagasić ogień, drudzy, jak ją zapełnić i zapalić publiczność.

szalał zajmując klatkę schodową. Jedyny ratunek—to skok. Skoczył szczęśliwie.

Dookoła pożaru pełno ludzi—straż cała w komplecie—akcja ratunkowa w pełni. Lecz ogień wiatrem podsycany szaleje, dalej ku dachowi domu się wzbijając. Wtem w oknie na strychu ukazuje się kobieta z dzieckiem na ręku. Zwiesiła się po przez okno i—skoczyła,—skoczyła na śmierć niechybną. Ci którzy widzieli, zamarli z przestrachu—upaść miała na palące się jeszcze głownie belek, pełnych gwoździ, na sprzęty porozrzucane. W tem mundur znany błysnął. On jeden zorjentował się w sytuacji. „Matce, ratującej dziecko umrzeć nie wolno!"Powiedziawszy to jednym susem znalazł się w miejscu krytycznem; stanąwszy mocno, rozkrzyżował ramiona i pierś swą nastawił, niby płachtę obronną...

Pod spadającym nań ciężarem zachwiał się i runął na wznak, krwią własną zalany. Lecz kobiecie nic się nie stało. Matka i dziecko były uratowane.

I z pośród pięknych jego marzeń o uczynieniu dobra dla całej ludzkości, był to ostatni czyn w jego życiu.

A ludzie—i dziś jeszcze zeń się śmieją, mówiąc; „szkoda go, dobry był, i dla jednej baby — aleć bo temu tam zawsze w głowie świtało...

WITOLD KRASZEWSKI.



Z cyklu „Morze".

Smutna ma dusza.

Smutna ma dusza, jako połamany
Okręt na fali, w rozbicia godzinie,
Gdy go wiatr chłoszcze, chłoszczą huragany,
Kiedy milczący, beznadziejny płynie.
Smutna ma dusza, jak nad wód głębiną
Okręt, co szuka wybawczej latarni
I widzi blaski, które wokół giną,
I widzi wokół coraz smętniej, czarniej...
Smutna ma dusza, jak ten okręt, smutna,
Któremu fale dzikie prują łono,
Któremu wicher zrywa w strzępy płótna,
Któremu konać i ginąć sądzono...
Smutna ma dusza, ale się nie żali
Że ją dosięga ciężkich losów ramię,
Że burza targa i szyderczo łamie,
Jak okręt smutny, ginący na fali,
Wśród mroków czarnych, pośród burzy płynie
Pławi się w silnych odmętów głębinie!

Władysław Karoli.

Bezdomni...

I wciąż rzeczywistość naga
Zapały gorące studzi,
Kogo nie ima się blaga,
Coraz dalej jest od ludzi...
I tak żyć muszą bezdomni...
Szczęśliwy ten, kto zapomni!

Sympatji łatwo związać nić...
Można jutro spotkać inną...
I takiem życiem wiecznie żyć
Toć to igraszką niewinną?
Że tam czasem pęknie serce—
Los to ludzi w poniewierce!..

Jan Saf.



O ŻYCIU.

Całe życie jest poematem,
Gdy je przystroim w złudzenia:
Ból kochania i gorycz zwątpienia,
Śmierć nawet nie jest dramatem.
Życie jest kłamstw łańcuchem,
Lecz gdy się ufa i wierzy,
Życia treść w snach naszych leży,
I jest jak kwiat w bagnisko
Wichrów strącony podmuchem.
Tak... trzeba, trzeba nam tych snów,
By zakryć prawdy strasznej nocy,
By chronić w duszy czynu moc,
Wierzyć i zwątpić i wierzyć znów...

M. B.

* * *

Jedna tylko chwila... i już... niema życia...
Jedno tylko drgnienie... i już cię niema...

Żyjąc, pysznisz się, że i mówić z tobą nie można; zda ci się, że wieki całe czekają cię życia i na każdym kroku, dobitnie i wyraźnie swoje stanowisko znaczysz...

Jakie by ono nie było... stanowisko władcy czy pachołka, pana czy służalca, nigdy je nie znaczysz *dobrem*, lecz zawsze *najgorszem* w stosunku do drugiego, bo nigdy nie myślisz o tej *jednej tylko chwili!*

Ileż fałszu, obłudy, kłamstwa, mamy zazwyczaj wszyscy w obcowaniu z drugimi, ileż nienawiści i jadu zemsty chowamy często w zanadrzu dla brata swego, co kiedyś zadrasnął nasze stanowisko, ileż boleści i zmartwienia przysparzamy drugim, jak często dobijamy nam najbliższych, zapominając zawsze o *jednem tylko drgnieniu*!

Jedna tylko chwila... zbliża się strasznie i żadna siła ludzka, w drodze jej nie zatrzyma... żadne tleny ni surowice, kamfory ni kofeiny, żadna moc ludzka nie odpowie ci nigdy... dlaczego ona idzie?

Roisz plany najwspanialsze, budujesz przyszłość swoją, czy jedynej ci istoty... a *jedno tylko drgnienie* czeka już gdzieś w ukryciu, by bezlitosnym zamachem zwalić je bezpowrotnie!

Do strażaka.

Dzielny strażaku! Czy w dzień, czy w nocy
Hasłem twem: bronić bliźniego mienie;
Ludzkości życie własne w ofierze
Niesiesz odważnie, nieustraszenie.

Walczysz, lecz walka Twoja szlachetna:
Ran nie zadaje broń z twojej ręki,
Śmierci nie siejesz, ni spustoszenia,
Wzrusza Cię krzywda, łzy, ból i jęki.

A wróg Twój straszny, wróg to potężny,
Co czyha każdej godziny zdradnie,
By chwycić zdobycz w płomienne szpony
i pożreć ogniem, co raz w nie wpadnie.

Gdy błyśnie zorzą łuna pożarna
Nad śpiących głową nagle na niebie,
Z toporem w dłoni spieszysz do boju;
Honor strażacki tam wzywa Ciebie.

I z rozszalałej ognia powodzi,
Gdy wkrąg Twej głowy grad iskier leci,
Wyrywasz—własnej niebaczny zguby—
Schorzałe starce, kobiety, dzieci.

Cześć Ci, strażaku! Cześć Ci rycerzu!
Niechaj Bóg sprzyja Twej zbożnej pracy!
Dumnie swe czoło wznieść możesz w górę.
Cześć Wam kochani, dzielni strażacy!

H. MYŚLIBORSKI.

MIĘDZY KURACJUSZAMI.

— Mój panie, nie umie mię pan objaśnić od czego zależy dobra kąpiel?

— Od... złotówki, łaskawy panie.

PRZY POŻEGNALNEJ BIBCE u MILLERA.

— Bóg wie, kochany panie, kiedy się znowu zobaczymy—wypijmy więc jeszcze po jednemu.

— Kiedy ja i teraz już pa... na nie widzę.

* * *

Ciechocinek rad, że ma *rad*
Kuracjuszki także rade, że nową mają *radę*.

ZNAMIENNY OBJAW.

Dwaj kuracjusze witają burmistrza zdrojowiska, który jest zarazem i naczelnikiem straży ogniowej.

— Więc pan burmistrz przebył niedawno tak ciężką chorobę?

Burmistrz: O tak! Na włosku już wisiało życie moje. Dość panom powiedzieć, że cała straż ogniowa miała już „na glanc" poczyszczone hełmy.

CHYTRZE.

Żona (po spazmatycznym wybuchu, płacząc): Zatem wbrew zaleceniu lekarza odmawiasz mi środków na wyjazd do Karlsbadu? Naturalnie! Cóż tobie na mnie zależy!

Mąż: Tak? Otóż wręcz przeciwnie. Jak bardzo całą ciebie cenię dowodzi właśnie moja odmowa. Nie chciałbym też za żadną, choćby największą cenę, stracić z ciebie ani nawet jednego funta.

PODSŁUCHANO.

— Wiesz co Felko, zostań ty moją żoną.

— Byłoby to nadzwyczaj nieprzyzwoite!

— ? ? ? ?

— Bo jesteś... goły.

Nie tak to dawno...

Nie tak to dawno — żyć pragnąłem
Radośnie każdy witając dzień,
Nad rozjaśnionem moim czołem
Nie zawisł nigdy smutku cień.

Nie tak to dawno — o jutrzence
W duszy swej pieściłem pełnię sił
I wyciągałem na wschód ręce,
Bo ogień tryskał z młodych żył.

Nie tak to dawno — liść wawrzynu
Pokrył w marzeniu młodą skroń
I potężnego, jak grom, czynu
Silnie pragnęła — moja dłoń.

Nie tak to dawno — miłość cudna
Hen nad poziomy wiodła duch
I pieśń rozkoszna a ułudna
Pieściła, kołysała słuch.

Nie tak to dawno...

Zamiast feljetonu.

Jak demon szła za nim Jej zjawa. Widział Ją ciągle. Była mu tym złym, a niedstępnym cieniem, co w przepaść wiedzie, a mimo to—bezwiednie za nim się idzie.

Widział Ją tylką do połowy. Przed ładnemi jego oczyma płowemi, stał ciągle Jej biust przecudny. Widział najwyraźniej te piersi, co niby zda się fale morskie wspaniale, majestatycznie się wznosiły. Widział przecudne, bogiń greckich, krągło toczone ramiona i szyjkę widział, taką długą, wiotką, łabędzio białą, co pięknem swem do zawieszenia się nęciła. Widział tę cudną, jak z karraryjskiego wykutą marmuru—twarz zagadkową — twarz sfinksa; nęcącego, pięknego i—strasznego zarazem.

I czuł na sobie tych modrych oczu przepiękne spojrzenie, co patrząc rozkosz cudu i mękę czaru dawały. Odnosił wrażenie uczucia, królewsko jedwabistych Jej włosów muskania po swej twarzy, włosów, co w przepysznych długich i gęstych zwojach jeno patrzeć, jak kręcić i wić się zaczną i prawdziwymi staną się wężami, śmiertelnego pełnemi jadu.

A w tem wszystkiem, nie widział Jej serca!

Nie mógł go sobie wyobrazić... I mimo wysiłku woli, by choć fantazją fantazji, choć ułudne kształtów jego mieć pozory — i po linjach zjawą wysnutych, sądzić—złe to, czy dobre serce....

Daremnie....

Nie mógł....

Tam, gdzie u innych kobiet—pod cudną czy brzydką biustu powłoką, skrywało się serce—to serce, czy to zwykły kawałek mięsa, czy też ogrom symbolem i źródłem miłości zwany, lub też wprost złe serce, ale zawsze coś — coś określonego, mającego swą formę, postać i właściwości, u niej, w tem miejscu—panowała najzupełniejsza pustka... taka przestrzeń nieograniczona i nieokreślona, którą ni ludzkim objąć rozumem, ni nawet ludzką zgłębić duszą — w niej była — Nicość. A Nicość, jak Wielkość jest nieokreślona, nieuchwytna i—niezbadana!...

— Tak — w niej niema nic! — Jest chwila i pustka ogromna! Dokończył rozmyślań Bredicz i ze stanowczością przekonania i bólem sądu własnego!

Wtem drzwi pokoju skrzypnęły. Zwrócił się na fotelu i—skamieniał. Na progu stała ona. Do pokoju weszła ona. I Bredicz nie wiedział, czy były to czary, czy zjawiska halucynacyjne, nerwami i myślą wywołane, czy — niespodziewana rzeczywistość.

I dopiero srebrzysty ton jej głosu, z chwilowego wyrwał go osłupienia.

— Czemuś nie przyszedł, gdym Ja na ciebie czekała!?—spytała tonem czułej wymówki. Bredicz na równe zerwał się nogi. Nie, to nie halucynacja — nie, jemu się to nie zdaje, to nie zjawa myślą wywołana to—ona! Ona we własnej osobie i, w jego mieszkaniu... To ona doń przyszła.

Zdania te błyskawicznym lotem przebiegły mu przez głowę rozpaloną. Podszedł do niej wyciągając ręce.

— Czemuś nie przyszedł!? znów czule i z wymówką spytała.

Bredicz, zmieniwszy się w tej chwili, rozśmiał się filuternie. Przy niej, stracił świadomość zdań i myśli sądzonych przed chwilą. Było mu wtedy tak dobrze, tak bardzo dobrze, iż nigdy więcej szczęśliwym nie mógłby być.

— Czemu!?—powtórzył ze słodkim na usty uśmiechem — bom przeczuł, bom wiedział, że ty tu przyjdziesz.

— O, ty przebrzydłe stworzenie! odparła radośnie, oplatając jednocześnie szyję jego obu rękoma jak wąż, mocno i dookoła, a ustami swemi w jego karminowe wpiła się wargi—i, sączył się przepyszny sok czaru.

— Coś robił? spytała już zupełnie wesoło, pociągając go jednocześnie za sobą w stronę francuskiego szeszlonga.

— Com robił? — Nie mniej powtórzył wesoło—ani się domyślasz.

— Pisałeś!

— Nie.

— Czytałeś!

— Nie.

— Miałeś iść do mnie?

— I to nie.

— Więc?

Spojrzał na nią pięknemi, płowemi oczyma, długo, z pod przymrużonych nieco powiek, przeciągłe rzucając spojrzenie.

— Myślałem....

— O mnie! wykrzyknęła uradowana.

— Nie inaczej!

Fala całusów była mu odpowiedzią i dziękczynieniem.

— No, co żeś ty o mnie myślał? — powiedz?

— Myślałem, właśnie — mówił już poważnie—o twem ze mną postępowaniu. Gonisz mnie na każdym niemal kroku — mówisz, iż brakuje ci mnie zawsze—powtarzasz, iż całując męża, masz wrażenie, że mnie widzisz i całujesz—a mimo to nie chcesz iść ze mną w ten świat, taki piękny, szeroki, kędy bez miary szczęście nas czeka! Więc właśnie, dziecino, jam myślał nad tem, czem jest to,

czem ty mnie darzysz i, czego faktycznie ty pragniesz odemnie!? Ty... ty serca, serca nie masz... dokończył wolno.

— Nie, Lenuś, źle ty mnie sądzisz. Ja mam serce, lecz inne, niż ty je szukasz; może nawet inne, gorsze jeszcze od serc posiadanych przez niektóre kobiety. Widzisz— mnie zawsze uczono—jak zresztą czynią to dziś matki wszystkie — bym męża złapała. Zawsze mówiono mi o mej urodzie bajecznej, o prawie do używania uciech wszelkich i do korzystania z czary życia—tym jeno uczuciem serce me przepełniono.—„Nie, Lenuś, ja mam serce i kocham — kocham te wszelkie użycia, tę możność uciech wszelkich czerpania—kocham to samo uczucie rozkoszy. I może właśnie dlatego nie pójdę za tobą — i może właśnie dlatego, tak jestem słabą i woli i siły nie mam, iż wprost brak mi odwagi, by zerwać to, co dziś mam, co istnieje—dla tego jutra, które dopiero dać mi może coś nieznanego.

Widzisz, nie uczono mnie kochać kogoś, a poprostu coś... zakończyła wolno i w pokoju grobowe zapanowało milczenie. Siedzieli na szezlongu — silnie swe ściskając dłonie. W ich głowach, jakieś się snuły myśli, lecz oni ich nie czuli, nie rozumieli...

— Tak, Lenuś, żądaj odemnie czego jeno chcesz — wszystko dam ci z rozkoszą prawdziwą, bo z wdziękiem brać umiesz— lecz — serca nie żądaj odemnie; tego dać ci nie mogę—albowiem—ono tego, o czem ty marzysz, nigdy nie ukocha. Jego struny są inną nastrojone melodją, inne dźwięczą wśniem nuty—więc serca nie żądaj odemnie. Nie dam ci go, gdyż nie mam go sama! Zresztą — bierz życie jakiem ono jest, bo życie jest takiem, jakiem jest.

— Ach—masz rację, odparł boleśnie— a jam zawsze o innem marzył życiu. Tęskniłem za niem, w duszy mej, życia tego przecudny wyrósł kwiat o pięknych, barwnych płatkach i czarownym zapachu—i teraz, i dziś, miałbym go zdeptać, zerwać, zmarnować i z cudnego ogrodu w zwykłe uliczne rzucić błoto!? Miałbym wziąć życie, takiem jakiem ono jest, li tylko dla tego że—„życie jast takim jakim jest"! Miałbym miłowaniu swemu i dążeniu własny a dobrowolny zadać kłam i zerwać z tem, z czem dusza zrosła się nierozerwalnie, za czem już od kolebki tęskniła, za czem tęskni, do czego pójdzie— pójdzie choćby przez ciernie i głogi, choćby przez śmierć własną!? Mówił wolno, dziwnie; mówił tak jakoś mocno i stanowczo, z taką siłą iż przeczyć mu nie było można, (było niemożliwością).

Puścił jej ręce—do stojącego w rogu podszedł stoliczka,—jak błędny mówił—„I nowego, a swego pójdę ja życia drogą".

Ona za nim dziwnemi, w słup stojącemi patrzyła oczami—cała skamieniała. Widziała dobrze, że do starego, dziadówswoich podchodzi stoliczka, że naciska tajemniczą sprężynę—słyszała, że coś głucho trzasnęło i blat inkrustowany odskoczył w górę. Widziała, iż z wyżłobionego wnętrza jakowyś kryształowy dobył flakonik, że do tych pięknych warg karminowych nerwowym przyłożył go ruchem i—w tej że chwili kurczem bólu zwinięty runął na podłogę.

I nic jeszcze nie rozumiejąc, osłupiałym patrzała nań wzrokiem, usta jego zda się we wdzięczny grymas złożone, mówiły: — „o innem marzyłem ja życiu—i— do innego pójdę ja życia".

Mój kącik.

— Na świecie prawdziwie biednym jest ten, kto nie ma wspólnej duszy.

— Nie zawsze t. z. „szalona miłość" jest prawdziwą i nie zawsze szczęście daje.

— Z uczuć najwięcej kocham i nienawidzę uczucia miłości, gdyż najbardziej przez nie cierpiałem.

— Małżeństwo, w którem niema wzajemnego szacunku, zaufania, i prawdziwej bratniej przyjaźni — rzadko kiedy może być szczęśliwe.

— Nawet ludzie, brzydzący się każdym interesem w znaczeniu pewnej spekulacji, gdy chodzi o małżeństwo, od niej zaczynają, bezczeszcząc to, co świętem i wielkiem być winno.

— Największym fałszem na świecie, spełnianym przez wszystkich, fałszem wspieranym tysiącami przysiąg, to zazwyczaj fałsz miłości.

— Od kobiety, która niema serca, uciekaj jak od zarazy.

— Chcąc w życiu coś mieć — trzeba wszystko wywalczyć — nawet miłość temu samemu podlega prawu.

— Czasami jedna kobieta więcej wyrządzi szkody, niż cały bataljon wojska.

W. K.

* * *

Gdy sam na sam w słowiczem pieniu,
przysięgli miłość wspólną święcie;
on tulił lubą w uniesieniu
i szeptał cicho: „Mój djamencie!"

Gdy zaś ucichły już słowiki,
bo na tym świecie wszystko ginie,
on, drżącą, jak ten liść osiki,
całował, szepcząc: „Mój rubinie".

Lecz prędko przeszły dni wyśnione,
on, tonąc we łzach i w cierpieniu,
zgrzytał zębami na swą żonę
i gniewnie mruczał: „Ty kamieniu"

STARA MIŁOŚC NIE RDZEWIEJE.

Do redakcji naszej nadszedł list jakiejś „panny Marjanny", która widocznie od dwu lat nie była w Ciechocinku i nie wie o smutnej prawdzie, że nie posiadamy już orkiestry W. S. Ogniowej. Oto co pisze:

„Wielmożny Panie Redaktorze! Piszę z prośbą o napisanie mi, czy tego roku będzie grać pan Sielski ze strażakami, a pytam się dlatego, bo państwo chcom jechać na lato do Ciechocinka. Ja byłam tam dwa lata temu i dobrze się bawiłam, bo byli strażaki. A że w gazetach, mówiom, pisali, że ani pana Sielskiego, ani strażaków już nie będzie, to mi się tam nie bardzo chce jechać. Więc też bardzo proszę Wielmożnego Pana Redaktora, by był taki dobry i napisał mi czy to prawda i czy będzie ten Władek, co to gra na klarnecie. Teraz pięknie dziękuję, tylko proszę mi zaraz odpisać.

Marjanna."

WYTŁOMACZYŁ.

— Niech pan kupi plac—tanio! Dla pana rubelka za łokieć, postawi pan willę, będzie pan dziedzicem.

— Dobrze, ale tu straszna wilgoć!

— Wilgoć! Pluj pan na to! Cała Wenecja stoi na wodzie, a nikt na wilgoć nie narzeka.

Do kobiety.

Twoje serce — morza tonie,
Bo w swej głębi, w wód osłonie
Mieści, żywi każdej pory,
Gady, węże i potwory

Twoje serce — morza tonie,
Bowiem wszystko w siebie chłonie
W niem tonęli na kształt śmieci
Głypcy, kupcy i — poeci.

K.

LOGIKA KOBIECA.

— Kochany mężusiu, nie wiedziałam coby ci tak do gustu kupić na imieniny.— Otóż pomyślałam sobie, lepiej dam ci te 50 rubli, a w tem sposób łatwiej ci już będzie dołożyć resztę na mój wyjazd do Ciechocinka.

TAKŻE ROZMOWA.

— Ależ to jest okropne; pańskie kury przeskoczyły przez parkan w moim ogrodzie i poobgryzały mi kwiaty.

— Cóż pan w tem widzi tak okropnego? Gdyby pańskie kwiaty przeskoczyły przez parkan i poobgryzały mi kury, to istotnie byłoby okropne.

JAK KTO ROZUMIE

— Cóż tam, Józiu! żona wniosła ci ładny majątek w posagu?

— No! jak to wniesienie kto rozumie?

— Jakto?

— Prawda! wniosla mi majątek, ale moi wierzyciele wynieśli go zaraz!

* * *

Rodzie niewieści—ile w tobie wdzięku, treści
I jak cudne stwarzasz marzenia,
Któż cię nie kocha—kto cię nie pieści,
Choć często wzamian ma cierpienia.

* * *

Najłatwiej jest „wyśmiać wszystko", dlatego więc tylu ludzi to czyni — sądząc, że pokazują szczyt rozumu, gdy tymczasem...

Z NATURY RZECZY.

— Dlaczego, jeśli w Ciechocinku chcesz się wykąpać w słodkiej wodzie...

— To słono za nią płacisz—wiem—to już tak z natury rzeczy.

Redaktor i Wydawca **Witold Kraszewski.** Druk Braci Piotrowskich, Włocławek.
Papier Krajowej Spółki Papierniczej. Warszawa, Długa 16.